DZIENNIK WARSZAWSKI.

Czwartek 17 Lutego / 1 Marca 1855 roku. № 57. Jutro Ś. Heleny Ces. Wd.
Wschód słoń. o god. 6 min. 47. — Zachód o g. 5 m. 39

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

Rada administracyjna Królestwa. — Na zasadzie art. 14 ukazu NAJJAŚNIEJSZEGO PANA z dnia 25 kwietnia (7 maja) 1850 roku, rozwijającego art. 340 i 341 kodexu karnego, niemniej postanowienia swego z dnia 1go (13) maja 1836 roku, oraz decyzji Namiestnika Królestwa z dnia 29 listopada (11 grudnia) 1854 roku Nr. 10619 postanowiła co następuje: Ludwik Palichowski były podsekretarz prokuratorji Królestwa rodem z wsi Mitkowice pow. Kaliskiego, który w r. 1848 zbiegł do księstwa Poznańskiego w zamiarze przyjęcia udziału w tamtejszym rokoszu, gdzie przytrzymany przez władze Pruskie i odesłany do Francji w tymże kraju przyłączył się do Towarzystwa demokratycznego, uznanym jest za wygnańca i ulega karze konfiskaty majątku, bądź już zasekwestrowanego, bądź następnie jeszcze wykryć się mogącego, a to na zasadzie prawideł postanowieniem z dnia 2 (14) kwietnia 1835 r. wskazanych. Tytuły własności dóbr nieruchomych, tudzież kapitałów lub praw hypotecznych do Ludwika Palichowskiego należące, winny być na mocy niniejszego postanowienia we właściwych księgach wieczystych na imie skarbu Królestwa przepisane.

— Eksportacja zwłok ś. p. jenerała-majora *Puchały-Cywińskiego*, Policmajstra miasta Warszawy, o którego zgonie wczoraj donieśliśmy, nastąpi jutro o godzinie 10téj z rana, z domu nro 463 przy ulicy Senatorskiéj do kościoła Powązkowskiego, skąd następnie po odprawioném nabożeństwie, złożone zostaną w katakumbach przy tymże kościele.

— W dniu wczorajszym o godzinie 1éj z południa, pod prezydencją JW. hr. Andrzeja Zamojskiego, głównego przedsiębiercy żeglugi parowéj, i w obec wspólników i uproszonych do atentowania osób, w myśl § 12 kontraktu współki, odbyło się pierwsze losowanie obligów współki żeglugi parowéj, na sumę 21,000 rsr., w dwudziestu ośmiu sztukach, a mianowicie Nr. 2, 7, 17, 40, 63, 72, 89, 96, 108, 110, 111, 128, 155, 170, 189, 194, 197, 244, 265, 283, 288, 293, 298, 332, 341, 342, 343, 361. Wypłaty za obligi wylosowane, jak równie za kupony i dywidendy za r. 1854, rospoczną się z dniem dzisiejszym w biurze zarządu żeglugi parowéj codziennie zrana od godziny 8éj do 10éj i po południu od godziny 1éj do 3éj, o czem zarząd żeglugi parowéj ma zaszczyt zawiadomić osoby interesowane.

— Czytamy w *Journal de St. Petersbourg* z dnia 8 (20) lutego: „Dzienniki publiczne zdają sprawę z konwencji, mocą któréj rząd Sardyński zobowiązał się względem Francji i Anglji do udziału w nieprzyjaznych działaniach skierowanych przeciw Krymowi.

Sąd gabinetu CESARSKIEGO o tém najściu ze strony mocarstwa, które utrzymywało dotąd z Rossją stosunki pokoju, jest przedmiotem depeszy okólnikowéj, przesłanéj z rozkazu JEGO CESARSKIÉJ MOŚCI, JEGO ministrom za granicą.

Upoważnieni jesteśmy do ogłoszenia tego dokumentu.

OKÓLNIK.

St. Petersburg 5 lutego 1855 r.

Panie!

Dwór ...... podzieli, nie wątpiemy o tém, sąd, jaki CESARZ objawia co do polityki J. K. M. Króla Sardynji w chwili, gdy ten Monarcha, bez powodu jawnego, bez słusznéj krzywdy, bez pozoru nawet najmniejszéj obrazy interesów bezpośrednich swego kraju, oddał pod rozporządzenie Anglji korpus z 15,000 ludzi dla najścia Krymu.

Biorąc to postanowienie, rząd Sardyński zostawił, jak się zdaje, dziennikom, obowiązek uwiadomienia nas o najściu, którego nie usprawiedliwiał wypowiedzeniem wojny.

Pojmujemy powód tego milczenia.

Dworowi Turyńskiemu, przypuszczamy to, trudnoby przyszło pogodzić swą politykę z uczuciem narodowém kraju; równie trudno byłoby mu pogodzić także dzisiejsze swe postępowanie z dawnemi wspomnieniami domu Sabaudzkiego.

Badając kroniki swéj historji, mógłby zacytować przykład armji Rossyjskiéj, która przeszła Alpy; prawda, że armja ta śpieszyła bronić Piemontu, nie zaś go nachodzić.

W radach gabinetów Europy, za panowania CESARZA ALEKSANDRA błogosławionéj pamięci, Rossja to znowu udzieliła swą wierną pomoc niezależności Sardynji, w chwili przywrócenia domu Sabaudzkiego na tron jego przodków.

Czyż należy przypominać nakoniec, że w téj saméj epoce Genua przyłączoną została do Królestwa Sardyńskiego, jedynie dla tego, iż gabinet CESARSKI uznał konieczność zapewnienia zarazem pomyślności handlowéj i wielkości kraju, do którego wyswobodzenia z pod władzy obcéj, oręż Rossyjski się przyczynił.

Dziś, zapominając o naukach przeszłości, dwór Turyński wyśle przeciw nam z tego samego portu Genuy wyprawę nieprzyjazną, któréj Rossja, sumiennie to czuje, nie wywołała.

Postawa w ten sposób przyjęta przez rząd Sardyński, bez formalnego wypowiedzenia wojny, jak to wykazaliśmy, budziłaby w nas nawet wątpliwość, jaką nazwę daćby należało żołnierzom posiłkowym mającym najść granice nasze pod sztandarem kraju, z którym nieprzestaliśmy żyć dotąd w pokoju.

Jednak, jeżeli dwór Turyński traci z oczu zasady i zwyczaje, uświęcone prawem narodów, jako podstawa niewzruszona stosunków międzynarodowych państw, CESARZ z swej strony obstaje za ich zachowaniem.

W tym celu, JEGO CESARSKA MOŚĆ uważa za konieczne, uznać pokój zerwanym *de jure et de facto*, aktem nieprzyjaźni stanowczej, którego niesprawiedliwość spada na rząd Sardyński.

Zostawiamy mu zań odpowiedzialność przed opinją jego kraju, przed sądem bezstronnym całej Europy.

Do mocarstw to przyjaznych głównie należeć będzie ocenienie postępowania dworu Sardyńskiego, kiedy uważał za stosowne i prawe zwrócić swój oręż przeciw nam, w chwili, gdy gabinet CESARSKI rozpoczynał w Wiedniu narady, mające otworzyć drogę do przywrócenia pokoju.

Zdaje się, że gabinet Turyński dziwnie nie pojął życzeń dążących do spełnienia tego dzieła pokoju. W istocie, kiedy rządy środkowéj Europy roztropnie stawiły swą władzę prawną, jako zaporę mającą przeszkodzić jednemu z mocarstw walczących do rekrutowania swych legji w łonie państw, starających się utrzymać poszanowanie dla swej neutralności i zupełną swą niezależność; rząd Sardyński, mniej skąpy krwi włoskiej, przystaje na przelewanie jej dla sprawy obcej interesom politycznym i religijnym swego narodu. Albowiem z dobrą wiarą niepodobna utrzymywać, że rozwijając swój sztandar obok półksiężyca, dom Sabaudzki szuka czci z służenia sprawie chrześćjaństwa.

Nie podobna też dowodzić, że rząd ten chciał bronić słabego przeciw mocniejszemu, kiedy łączy swój oręż z orężem Francji i Anglji.

To ostatnie mocarstwo, jeżeli nasze wiadomości są prawdziwe, bierze wojska Sardyńskie pod swe rozkazy; nie powiemy na swój żołd, bo nie chcemy obrażać uczucia narodowego kraju, z którym, nie bez żalu, znajdować się będziem w wojnie.

Pomimo tej konieczności, CESARZ będzie umiał ochronić interesa prywatne narodowców Sardyńskich, utrzymujących z Rosją dawne związki handlowe. Błąd ich rządu na nich nie spadnie. Ich własność będzie szanowaną. Wolno im będzie pozostać w Cesarstwie z bezpieczeństwem wszelkiém, pod opieką naszych praw, dopóki do nich stosować się będą.

Ale flaga Sardyńska przestanie odtąd korzystać z prerogatyw, służących wyłącznie marynarce handlowej państw neutralnych.

Naznaczonym zostanie termin do odpłynięcia okrętów Sardyńskich, które mogą się dziś znajdować w portach Cesarstwa.

Od dziś cofa się exequatur konsulom Sardyńskim w Rosji.

WYCIECZKA DO NIEMIEC.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY.

(*Ciąg dalszy*).

— Więc to dla tego przezwali go Lucyferem? spytałem.

— O! nie, to było jego imie prawdziwe.

Kilka godzin czasu spędziłem bardzo przyjemnie z moim towarzyszem podróży. Był to adwokat, prokurator konwentu zakonników, niepomnę jakiéj reguły. W Bolzano bawił dość długo, wiodąc sprawę z całej dziesięciny, który proces ukończył pomyślnie zapomocą polubownego układu, jechał właśnie zdać sprawę z czynności i liczbę z pieniędzy, do księdza przeora, z którym go łączyły dalekie pokrewieństwo i bliska przyjaźń, a wiązały przeszłość i przyszłość. Na karb pierwszéj wdzięczność, a na karb drugiéj nadzieja. Konwent był dobrze uposażony. Ksiądz przeor miał bogatą szkatułę, którą mu obiecywał po swojéj śmierci spuścić, czy zapisać. — W Bryksen rozchodziły się nasze drogi i tylko do tego miasteczka mieliśmy jechać razem.

Od Redakcji. — Na tem kończy się wyjątek przysłany nam przez autora, który obiecał że więcéj ustępów przyszle, więc ciąg dalszy zachowujemy na późniéj.

(J. B.)

BANDURZYSTA.

(*Obrazek z przeszłości*).

I wszystko zaginie,
A jedna prawda,
Nigdy nieprzeminie...
Przypowieść ludu.

Na ziemi naszéj od końca do końca,
Leżą jak kości wśród pobojowiska,
Zmyte deszczami, zbielałe od słońca,
Ruiny zamków i grodów zwaliska.
O jednych suche zaledwo wspomnienia,
Zostały w księgach — inne jeszcze święci,
Żywa pieśń ludu — inne bez imienia,
Bez czci — od wieków giną w niepamięci.

Z poszanowaniem mijam zawsze groby,
Niosąc umarłym zaduszne pacierze,
Lecz i ruinom z westchnieniem żałoby,
Cichą modlitwę przynoszę w ofierze.
Gród nie zna życia i życia nie chłonie,
Pokrywa martwe tylko ciała szczątki,
Każda ruina strzeże w swojem łonie,
Z pożaru życia wyrwane pamiątki...

Taką pamiątkę — takie jedno słowo,
Z podnóża ruin, z ust ludu podnoszę
Na nowe życie, poniewierkę nową,
Przed serca wasze, w pieśni méj przynoszę.

* *

Na Ukrainie, w obronném zamczysku,
Mieszkał pan możny i zacnego rodu,
Podanie milczy o jego nazwisku,
Powiada tylko, że nieraz za młodu,
Rycersko gromił napaśne sąsiady,
I nabył z miecza sławy znamienitéj.
A potem chlubnie wezwany do rady,
Był senatorem Rzeczypospolitéj.
W końcu latami złamany i trudem,
Do samotnego stęskniony ukrycia,
Otoczon dworem i orężnym ludem,
W rodzinnym zamku dokonywał życia.

* *

Dwór to był liczny i świetny z pozoru,
Na czele Barwy i wszelkiéj czeladzi,
Z groźną powagą stał marszałek dworu,
O duszy pańskiéj ksiądz kapelan radzi,

Ajenci rossyjscy, rezydujący w Genui i w Nicei, otrzymują również roskaz, by zawiesili wykonywanie swych obowiązków, albowiem pokój pomiędzy obydwoma krajami zerwanym został przez dwór Sardyński, od chwili jak ten przystąpił do traktatu przymierza, zawartego w dniu 10 kwietnia 1854 r. pomiędzy Wielką Brytańją a Francją.

CESARZ raczył polecić mi, bym te postanowienia komunikował wszystkim mocarstwom przyjaznym.

Stosownie do tego roskazu, wzywam Pana, byś niniejszą depeszę podał do wiadomości Rządu, przy którym masz honor być uwierzytelnionym.

Przyjm pan etc.

(podpisano) *Nesselrode.*

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

A N G L J A.

Londyn 22 Lutego. Układy względem zapełnienia opróżnionych posad w gabinecie, nie są nam dotąd wiadome, a może być że jeszcze nie doprowadziły do żadnego rezultatu, ale wiemy że niektóre usiłowania w tym celu nie powiodły się wcale. P. Cardwell nietylko nie przyjął wydziału skarbu, który mu ofiarowano, ale nadto opuszcza biuro handlowe idąc za przykładem swoich kolegów peelistów i dając im przez to dowód większéj wierności w upadku, niż oni pokazali jéj dla niego w wyniesieniu go. Między nowemi nominacjami wymieniają lorda Elgin, p. Baines, p. Loeve i sir Corneval Levis, ale w tym względzie nie ma jeszcze nic pewnego. Spodziewamy się jednak że lord Palmerston na dzisiejszém posiedzeniu doniesie izbie, że już skompletował swoją administrację.

Nowy gabinet zaledwie po dwóch tygodniach istnienia, upadł przy pierwszéj próbie na jaką był wystawiony, ale lord Palmerston na tém skorzystał, bo zamiast kompilować żywioły dawnéj administracji, będzie mógł teraz utworzyć nowy, którego siłę sam będzie mógł osądzić.

Rezultat téj kombinacji będzie dla kraju miarą stanowczą zdolności lorda Palmerston jako pierwszego ministra, bo jeśli ograniczy się na zapełnieniu ważnych posad ludźmi wziętemi z drobnych koterji, których imiona znane są już publiczności przez dawniejsze ich niepowodzenia, widoczném jest że taki gabinet nie długo potrwa i pociągnie za sobą utworzenie gabinetu Derby.

— Według *Morning Chronicle*, sir James Graham ma być zastąpiony w administracji przez sir J. Baring, p. Baines zajmie miejsce sir Jerzego Grey w ministerstwie spraw wewnętrznych, a sir Grey przejdzie do kontroli Wschodnio-Indyjskiéj.

— Proszono nas, mówi *Times*, o doniesienie, że sir John Forbes podał się do dymisji jako dyrektor służby lekarskiéj w nowym szpitalu w Smyrnie.

— Wyborcy w Marylebon (Londynie) odbyli metyng, na którym postanowionem zostało jednogłośnie, żądać wprowadzenia w wykonanie śledztwa proponowanego przez p. Roebuck. *(Indep. Belge.)*

F R A N C J A.

Paryż 22 Lutego. Wychodzę w téj chwili, pisze korespondent paryski w *Independance Belge*, z Akademji, na któréj odbyło się przyjęcie pana Berryer w miejsce zajmowane niegdyś przez pana Saint-Priest. Przyjęcie to było niezmiernie późne, bo wybór zdecydowany został jeszcze w roku 1852. Przyczyny łatwiejsze do odgadnięcia a mniej potrzebujące wyjaśnień, spowodowały to niezwyczajne opóźnienie, dodać także należy, iż miano wzgląd na zatrudnienia pana Salvandy, który z przepisów jako dyrektor Akademji w epoce trzech wyborów, musi odpowiadać trzem nowym członków pp. Dupanloup, Berryer i Sylvestre de Sacy.

Uroczystość dzisiejsza od kilku tygodni zajmowała cały Paryż, a przynajmniej tych wszystkich którzy się interesują rzeczami literackiemi i namiętnościami politycznemi, bo nie można zaprzeczać, że wejście pana Berryer do Instytutu, ma więcej polityczną ważność niż literacką naturę, chodzi tu bowiem o sławnego mówcę potitycznego, który dotąd nie dał się poznać żadnem pisanem dziełem. Tłum też był nadzwyczajny, wszystko co mogło cisnęło się do sali, a wiele osób którymby należało się w jej obrębie jakie miejsce, w korytarzach i na wschodach zaledwie przypatrywało się szczęśliwym którzy dość wcześnie dotłoczyli się wewnątrz.

Chociaż dzienniki paryskie wydrukują jutro bezwątpienia całą mowę nowego akademika i odpowiedź na nią, uprzedzimy czytanie jej krótkim obrazem wrażenia jakie ona sprawiła, tembardziej, że u mówcy tak zręcznego, można prawie powiedzieć tak teatralnego, zupełnie inne jest wrażenie dla słuchających jego głosu, a niżeli dla czytających spokojnie jego mowę.

Pan Berryer jak zwykle podziękował Akademji że go wybrała do swego grona, i jak zwykle, że go wybrała bez zasługi. Dalej skreślił szybką bjografję pana Saint-Priest, szczególnie zatrzymując się nad jego powrotem do Francji za restauracji »w epoce w któréj odrodziła się swoboda,« przeszedł potem rozmaite jego prace literackie, a mówiąc o *Historji Rzymian*, uczynił kilka uwag, które może właściwiej odniosłyby się do teraźniejszych czasów niż do epoki Cezarów. Zakończył wyrażając nadzieję, że zapewnie nie dotknął uraźliwie żadnej sympatji i zaręczając za swoję wierność zasadom, których tak często bronił w zwoim zawodzie politycznym.

Mowa ta która trwała godzinę i 20 minut, słuchana była z największą ciekawością i uwagą. Pan Berryer mówił z wielką sztuką, organem czystym i dźwięcznym, z pantominą prostą ale wyrazistą. Często żywe przerwy odznaczały ustępy piękne i wymowne, mowy bardzo uczonej, bardzo porządnej i może mniej namiętnej niż się spodziewano po tym mężu i po obecnym czasie.

Pan Salvandy mniej więcej powtórzył to co powiedział przy przyjęciu pana Dupanloup biskupa orleańskiego. Ten to sam duch, te same dążności czernienia wieku XVIIIgo, które jak się zdaje są ulubionym tematem dyrektora Akademji. Zresztą przyjęto nie bardzo dobrze mowę dawnego ministra. W ogóle posiedzenie było świetne i interesujące, ale zbywało mu na tym pieprzyku, którego wielu spodziewało się po panu Berryer na tym nowym rodzaju mównicy.

— Piszą z Calais, że silny mróz ściął lodem wody przy wnijściu do tego portu. Wiatr nagromadził prawdziwe góry lodowe. Nowe przystępy morza przynoszą bryły po kilka tysięcy kilogr. ważące. Całe nadbrzeże stanowi jeden pokład lodu rozciągający się na parę mil. Z pobliskich wiosek zbiegają się ludzie aby się przypatrzyć temu niezwykłemu widowisku. *(Independance Belge).*

Paryż 23 Lutego. Przeniesienie prefekta Sekwany do Senatu, jest już niewątpliwe. Pan Haussman sam już o tem mówi. Między osobami wymienianemi na jego miejsce, najwięcej szans zdają się mieć panowie Marsault prefekt w Versailles, i Collet Meygret dyrektor bezpieczeństwa publicznego.

— Dzienniki otrzymały polecenie wstrzymania się z drukowaniem wczorajszej mowy pana Berryer, ale następnie zakaz ten cofnięto.

— Wczoraj Amerykanie mieszkający w Paryżu, urządzili ucztę z powodu rocznicy urodzin Washingtona. W sali uczty znajdowały się między innemi portrety Washingtona, Franklina, Pearce i Lafajeta. Całe ciało dyplomatyczne, pan Drouin de Lhuys, pp. Guizot, Remusat i inni, znajdowali się na tej uroczystości.

— Pan Thiers pośliznąwszy się na lodzie w swoim ogrodzie, złamał sobie rękę w dwóch miejscach. Stan znakomitego historyka nie obudza jednak obawy.

— Pan Dupont de l'Eure jedna z najznakomitszych figur tegoczesnej historji Francji, bliski jest zgonu.

— Listy i dzienniki z zachodnich departamentów Francji, przynoszą nam bardzo smutne nowiny o zniszczeniach zrządzonych przez puszczenie lodów i śniegów, w dniach 20 i 21 b. m.

Niezmierna ilość śniegu pokrywającego wsie i drogi, kazała obawiać się roztoki szczególnie nagłej, jak to istotnie miało miejsce. Obawy te sprawdziły się i straty i zniszczenia są niezmierne.

Od poniedziałku wieczorem, piszą nam z Angers, ulice pokryte topniejącym śniegiem i ślizgawicą, w wielu miejscach stały się niepodobnemi do przebycia. Deszcz drobny padał przez całą noc i prawie cały dzień wtorkowy, marznąc w miarę padania na trotoarach i wszędzie gdzie odmieciono śnieg. Na całej długości bulwarów gałęzie drzew obciążone soplami lodu łamały się i padały z trzaskiem. Wiele kosztownych plantacji uległo zupełnemu zniszczeniu lub przynajmniej okropnemu uszkodzeniu.

Nie można jeszcze ostatecznie ocenić straty zrządzonej przez szron w plantacjach. Wszędzie gdzie tylko są drzewa, ziemia pokryta jest ich gałęziami. U wielu ogrodników, a szczególnie u p. Leroy, posiadającego niezmierne szkółki, straty są ogromne. Prawie wszystkie magnolje są zniszczone. Smutne to widowisko patrzéć na te pnie bez koron, i na zniszczone w wielu miejscach wszelkie nadzieje przyszłego lata.

Wiadomości z okolicznych wsi nie są mniéj smutne. Orzechy, śliwy, wiśniowe drzewa, jedném słowem wszelkie drzewa owocowe, na otwartém powietrzu, są po największéj części zupełnie pozbawione gałęzi. Najstarsi ludzie zapewniają, że od 40tu lat nie widzieli tak wysokich pokładów śniegu jak téj zimy.

W wielu miastach targi nie mogły się odbywać dla niepodobieństwa dowozów.

— Dziś nie wspominają już o poprzednio wymie-

On zna i myśli jego i sumienie.
Zdrowia strzegł doktór, niemiec pończoszkowy,
A prokurator chronił pańskie mienie,
Listy zaś pisał pisarz pokojowy.
Krom tego wielu z szlachetnéj młodzieży,
W dworskich zaletach ćwicząc się czas długi,
Mieszkało w zamku na własnéj odzieży...
Bo pan mieć lubił równe sobie sługi...

*

Był jeszcze błazen przybrany dziwacznie,
Co ostrząc język na dworskiéj gawiedzi,
Zabawiał pana i niby nieznacznie
Często go w ostréj dotknął odpowiedzi.
Wzgardą i śmiechem obrzucon jak błotem,
Wywalczał tylko w tym nierównym boju
Że mógł szyderczym odrzucić chychotem,
I gorzką prawdą, błazeńskiego kroju.

* * *

Swietna też była zamkowa załoga,
Tysiąc najemnych niemieckich żołdaków,
Rota węgrzynów — i straszna dla wroga
Wataga dzielnych przydwornych kozaków.
Węgrom i niemcom przywodzili niemcy,
Grafy, barony, na szlacheckim chlebie!
Gotowi zawsze chociaż cudzoziemcy,
W obronie kraju życie dać w potrzebie.

Kwiat staréj Rusi, kozacką drużynę
Sprawiał brat-kozak — bez herbu i miana,
Nie znał on matki — tylko Ukrainę,
Nie znał on ojca — tylko swego pana.

* * *

Taki dwór pana otaczał dostojnie,
Taki oreżny hufiec był przy dworze;
Lecz mimo tłumu — cicho i spokojnie,
Było na zamku, jak gdyby w klasztorze.
Bo pan wiekowy nie lubił hałasu,
Tylko modlitwą i księgą się bawił.
A dla zwyczaju ledwo czas od czasu,
Dla braci szlachty sutą ucztę sprawił.
Lecz zawsze trzeźwo od biesiady wstawał,
Albo załodze nakazywał łowy.
By oddech prochu powietrze napawał,
I szlaki taniec rozdeptał bojowy.
A wówczas z swojéj gdy wyjrzał komnaty,
Żywy rumieniec na twarz mu wyskoczył,
Znać na wspomnienie, jak to sam przed laty,
Na dzielnym koniu w świat szeroki toczył.

* * *

Niezawsze szczęście bogaczowi błyska,
Choć chodzi w złocie i jada na złocie
To też podobnie pan tego zamczyska,
Bolesnych ciosów doznał w swym żywocie.
Z młodu go jeszcze odumarła żona,
Przy własnym boku w boju stracił syna,
Najmilsza życia ziemskiego korona
Tylko mu córka została jedyna.
Lecz i tę rzadko widywał pan stary,
Bo na Mazowszu mieszkała przy mężu.
Jednakże duchem przejęty ofiary,
Osłabłą ręką wsparty na orężu,
Na zgon swój bliski poglądał spokojnie.
A ksiądz kapelan starzec siwowłosy,
Umacniał duszę jego bogobojnie,
Na lepszą drogę gotując w niebiosy.

* * *

Było dwóch ludzi wśród ścian tego dworca,
Co jednéj sprawie służyli inaczéj,
Był to uczony pański rymotworca,
I bandurzysta drużyny kozaczéj.

* * *

Chudy wierszopis biorąc jurgielt suty,
Sypiał na puchu, z panem za stół siadał,
Dudniąc palcami, ciężko rym ukuty,
W misterne strofy podług wzorów składał.

DODATEK.

czego pół barbarzyństwa, a przeciwność ta dziwnie więcéj uderza, że to się działo w epoce wygórowanego racjonalizmu. Nauczyciele łomżyńscy, oprócz łaciny, pisania, czytania, rachunków i troszkę jeometrji, niczego więcéj nie uczyli.

Był zwyczaj od komisji edukacyjnéj zachowany, że jeden nauczyciel w każdéj klassie wszystkich przedmiotów zarówno nauczał i uczniów swoich przeprowadzał przez wszystkie klassy, od pierwszéj aż do ostatniéj, jakby z niemi razem wzrastał w naukę. Adrjan źle przygotowany w domu, trafił jeszcze nieszczęściem na takiego, który pomiędzy złemi jeszcze był najgorszym; istotnie niczego nie uczył, bo niczego sam nie umiał. Wołał do katedry swoich ulubieńców i bawił się z niemi jak dziecko; a gdy reszta uczniów sama sobie zostawiona hałasowała, wtedy harap z za cholewy w ostateczności wydobyty, ciszę na chwilę przywracał. Kara dotkliwa nie minęła i Krzyżanowskiego, jakkolwiek cichym był i przykładnym i brał się do nauki więcéj od innych spółuczniów: dostał raz trzy plagi za drugich psoty. Nic to nie pomogło że nieraz z kredą w ręku przepowiadał sobie i towarzyszom szkolnym zadane lekcje na dzień następny, że się mozolił nad pracą i że szukał sam po omacku nauki, wyręczając gorliwie niedołężnego swego profesora, zapewne szczęśliwego z wysokiéj swojéj mądrości.

Siedem lat przepędził w takiéj szkole młody Krzyżanowski. Był to, jak sam mówił, siedmioletni najnieszczęśliwszy w jego życiu przeciąg czasu. W domu nędza i utrapienie, w szkole nic coby przywiązywało silny umysł młodzieńca rwącego się do nauki, oto co go zbyt boleśnie dręczyło. Pierwszy rok szkolnéj nauki przechodził w żupaniku, z podgoloną głową i bez płaszcza, bo rodzicom na lepsze jego okrycie nie starczyło. Chłodno więc było i głodno. Odmroził sobie wtenczas ręce i twarz, i to tak mocno, że cierpienia z tego powodu pozostały i nadal, często się później odnawiając. W wyższych klassach, kiedy więcéj zmężniał i lepiéj pojmował położenie własne, do cierpień ciała przybyły cierpienia moralne, bo czuł jak bardzo mało umiał na swoje lata i lękał się o przyszłość.

Oto daty które się odnoszą do pobytu w szkołach łomżyńskich Krzyżanowskiego. W roku 1798—9 był w podinfimie, w 1799—1800 w infimie, w 1800—1 w gramatyce, w 1801—2 w syntaxie, w 1802—3 w poetyce, poczem przeszedł do retoryki, w któréj przepędził dwa lata szkolne, podług przepisów, to jest lata 1803/4 i 1804/5. W ostatnim roku pobytu swego w szkołach łomżyńskich, wpadł w niebespieczną chorobę, któréj początek dały różne zmartwienia domowe. Ze szkół wyniósł jeszcze jedno wspomnienie, ale tym razem już miłe: w roku 1802 zapisał się do Bractwa sodalisów Marji, ku któréj całe życie swoje zachował cześć natchnioną i serdeczne posłuszeństwo.

Co było robić po ukończeniu szkół, w których się niczego nie nauczyło? Dla młodego Krzyżanowskiego była jednak nauka zbawieniem, musiał myśléć o utrzymaniu siebie, o przyszłości. A potem żądza wiedzy gnała go ciągle ku pracy, ku temu żeby swój umysł zbogacił wiadomościami. Nie było więc robić co lepszego, jak z ucznia zostać nauczycielem, jak wstąpić do zakonu zajmującego się naukami, żeby się daléj kształcić w obranym zawodzie. Nędzni byli nauczyciele w Łomży, bo sami nic nie umieli. Otóż Krzyżanowski chce pracować nad sobą, żeby lepszym był od nich nauczycielem. Sam o sobie w pewnéj notatce napisał, którąśmy czytali, że szukał nauki »aby znalezioną drugim szczerze udzielał.« Tą drogą postępowało wiele zdolniejszéj młodzi i przed nim i po nim; wiemy nawet, że jezuici i pijarzy chętnie garnęli pod skrzydła swego zakonu tych uczniów swoich, z których spodziewali się chluby i pociechy. Siedemnasto-letni młodzieniec spieszy więc w r. 1805 do Warszawy, gdzie był nowicjat i naturalnie dobór lepszy profesorów, gdzie nawet błyszczało jeszcze kilka gwiazd zakonnych, zabłąkanych ze świetnéj stanisławowskiéj epoki.

Prowincjałem pijarskim był wtedy ks. Kopczyński, rektorem kolegjum warszawskiego ks. Mierzwiński, autor jeografji elementarnéj, któréj długo używano po szkołach. Byli tu jeszcze księża fizycy Bystrzycki i Dąbrowski, był ks. Onufry Górski profesor wymowy, który wygotował teorją poezji do sławnego w swoim czasie trzy-tomowego dziełka, wziętego u Pijarów, znanego pod tytułem: *Wybór poezji.* Kaznodzieją był ks. Pomorzkant. Wszystko to byli ludzie znani w historji szkół i nawet w dziejach literatury. Pod ich kierunkiem mógł Krzyżanowski rospocząć na nowo pierwszy kurs nauk swoich, jakoż w istocie jako kleryk słuchał rok cały gruntowniejszego jak w Łomży wykładu. *(d. c. n.)*

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH
W KRAKOWIE.
(Dokończenie.)

Lirnik Konrada Coghena z Krakowa wyobraża sędziwego starca siedzącego pod drzewem, na kolanach trzyma starą swoję lirę i wydobywając z niéj akordy, zdaje się wyśpiewywać jaką dumę smętną. Oblicze starca pełne słodyczy i rzewności, pełne powagi uroczystéj, ma wiele w sobie poetycznego uczucia. Szczególniéj — co się naszym malarzom rzadko zdarza, panuje szczęśliwa harmonja kolorytu w całym obrazie, traktowanię jest umiejętne i znamionujące pewność pędzla, jedne tylko ręce nie są doprowadzone do ogólnéj harmonji, widoczny brak w nich wykończenia. Słowem, jest to jedna z najszczęśliwszych kompozycji naszych Krakowskich malarzy, z któréj i to się pokazuje, że pan Coghen mógłby wiele zrobić obierając sobie jeden rodzaj przedstawiania charakterystycznych postaci i typów narodowych, nie w szerokich kompozycjach historycznych, ale w odosobnieniu. Często jedna postać ujęta z prawdziwém uczuciem i w prawdzie życia, obstoi za liczny tłum figur nic nie mówiących.

Po pierwszy raz przychodzi nam zapisać i podać do wiadomości publicznéj nazwisko p. Andrzeja Grabowskiego młodego ucznia szkoły malarskiéj w Krakowie, a to z powodu dwóch jego kawałków olejnych znajdujących sie na wystawie. Są to rodzajowe portrety; na jednym dwóch dziadków częstuje się tabaką, na drugim dziadek ciemny z żebrzącym chłopcem. Aczkolwiek to studia, ale obiecujące bardzo wiele, szczególniéj pod względem charakterystyki. Ruch, wejrzenie, myśl wewnętrzna wyryta na twarzy tych osób, są tak szczęśliwie pochwycone z natury, z taką prawdą psychologiczną oddane, że byłoby szkodą nieodżałowaną, gdyby te zarody niepospolitego talentu w młodym malarzu, poszły na pastwę bałamutnych teorji, o jakie u nas daleko łatwiéj, niż o rzetelną umiejętność rysunku i użycia farb. W zagranicznéj jakiéj akademji mógłby ten wielce obiecujący młodzieniec wykształcić się ku chlubie kraju. Mówię to nie żeby go wzbijać w zarozumiałość, tę rodzoną siostrę mierności, lub talentu co stanął na jednem miejscu, ale mówię, aby zwrócić uwagę na takie zdolności, którym dopomódz w dalszem rozwinięciu się jest prawdziwą zasługą.

Pan Kostrzewski z Warszawy nadesłał: *Wnętrze karczmy.*—Utwór to prawdziwie flamandzki, przypominający takich Ostadów lub Teniersów, ma się rozumiéć nie co do wysokiéj doskonałości tych sławnych mistrzów.— Wszakże wszystkie te grupy częstujących się wódką chłopków, wybornie scharakteryzowane, i to z takiéj strony, jaką tylko artysta dopatrzyć umie. Każda tu figura wita cię jak stary znajomy; w ruchach, w postawie znać zacięcie mazurskie. Dobrze rzucone światło, trafne ugrupowanie a szczególniéj rysunek, zaleca się znajomością sztuki. Zapewne wielkiéj tu tendencyjnéj idei nie ma, ale jest poczciwa, naturalna prawda, która zawsze więcéj warta, niż pretensjonalność w wyszukiwaniu głębokich pomysłów, których wprawdzie niktby z patrzących nie odgadł bez szerokich objaśnień.

Pan Lasocki także z Warszawy, nadesłał *Kleopatrę* przykładającą sobie do piersi żmiję, i dwie inne kompozycje, jako to: Duch dobry siejący dobre ziarno, i Duch zły siejący złe ziarno. — Malarz chcący upostacić te dwie myśli moralne, zrobił unoszącego się w powietrzu niewieściego dobrego ducha siejącego ziarno na rolę, i znowu pokazał szatana, który po kłosach pszenicznych unosi się z lekkością baletnika rzucając kąkol w dojrzałe zboże. Szkoda, że pszenicę wprzód zapewne zbiorą, nim kąkol zejdzie.— Malarz widać zaprzątnięty pomysłami moralno-filozoficznemi, utworzył dwa obrazki nadzwyczaj zimne, obrane z fantazji i poezji.

Żałujemy, że p. Lorenowicz co większego i skończeńszego nie wygotował na wystawę jak maleńki szkic: *Branek tatarskich.*—Znajduje się tu kilka grup niewieścich dobrze pomyślanych.

Pan Kossak, o którym mówiliśmy z uwielbieniem wspominając o akwarelli bitwy Żółtowodzkiéj, nadesłał jeszcze dwie akwarelle, jedną przedstawiającą modlącego się Nieczuję, a drugą Amazonkę pokazującą ubitego zająca. Są to illustracje do powieści Zygmunta Kaczkowskiego.— Artysta dowiódł niepośledniéj zdolności w scharakteryzowaniu scen wziętych z romansu. Szczególniéj postać i fizjonomja Węgrzynka trzymającego luźnego konia prawdziwie z mistrzowską siłą i prawdą oddana. Ta jedna figurka pozostanie genjalnym typem w malarstwie naszém. Koń pod Amazonką i sama Amazonka traci manierą. — Co do koni studjowanych sumiennie i ze znajomością anatomji, zalecają się dwa olejne obrazki Wilhelma Hahna z Drezna—nie są to arabskie ani angielskie *vollbluty*, ale furmańskie niemieckie szkapy pławione w rzece, lub stojące przy żłobie. Jednakże i ta natura choć niezidealizowana, musi się podobać i zyskać uznanie, dla tego— że jest prawdą.

Jeszcze wypada nadmienić i o *Zachodzie słońca w Wenecji* szkicu olejnym p. Mireckiego. Dla czego artysta nie skończył tego obrazku niewiem. Przecież tu nic nie brakowało, tylko te dwie figurki, stojące na balkonie zrobić podobnemi—do ludzi—a byłby obrazek skończony. *(Czas.)*

WIECZÓR NA KAUKAZIE.
(Ciąg dalszy).

(Patrz Nr. Dziennika 328 r. z.) (a)

Józef zajął się majątkiem Stolnika, był rzeczywistą pomocą pozostałéj wdowie, a zastanowiwszy się nad rzeczą, przekonał się iż fortuna piękna, panna Katarzyna potulna, bogobojnie wychowana, będzie dobrą żoną. Czy ją kocha, lub nie? czy zapewni jéj szczęście domowe, to są zbyt małéj wagi okoliczności w porównaniu potrzeby majątku i błyszczenia w świecie, aby je zrównoważyć na szali sumienia.

Czuł, iż powiedziane słowo robi go panem spuścizny po Stolniku, nie wachał się więc długo, oświadczył się o pannę Katarzynę, a poczciwa Stolnikowa, ze łzami radości przyjęła jego chęci, bo widziała w nim ulubieńca zmarłego męża, posiadającego i jego przyjaźń i ufność. — Naostatek dwie sieroty, czyż mogą chcieć czego więcéj nad zapewnienie stałéj i niewątpliwéj opieki? Szczęśliwą będzie moja Kasia, myślała sobie Stolnikowa; bo śp. mąż mój nie mylał się w wyborze, i kiedy ukochał pana Józefa, to pewnie wart tego: i ja będę szczęśliwą ich szczęściem. I nie bez zasięgania zdania Kasi, dała przyrzeczenie, i Kasia przyjęła je jako dobrodziejstwo z rąk matki, bo czyż matka nie pragnie szczęścia swojego dziecięcia?... I stary ksiądz dziekan pobłogosławił ich związkowi.

Już się ku końcowi zbliżało urzędowanie Józefa, kiedy przypadła sprawa jednego z dygnitarzy państwa. Przybył sam wojewoda by jéj attentować: łatwo odgadł że Józef trzęsie trybunałem, że jest duszą jego. Jął się więc środków zapewnienia go sobie, — o datku myślić nie podobna, a więc obiady i festy jedne po drugich następowały. Leciały listy ze stolicy, dawnéj znajomości Józefa, ożyły związki krwi co go spowinowacały z magnatem: ukazywano z daleka pewną opiekę i pomoc u dworu. Próżno, Józef jednem słowem nie zdradził siebie, ani chwili nie pozwolił myślić dumnemu magnatowi, iż jest stronnikiem jego. Przeciwna strona widząc zabiegi wojewody, zdesperowaną była, bo ani podobna mierzyć się z nim było. Pan wojski to tylko, co długie już lata żebrze sprawiedliwości u prawa!

W wigilją przypadnięcia sprawy do sądzenia, Wojski wpadł do Józefa.

— Nie naprzykrzałem się JW. deputatowi w mojéj sprawie, jutro podobno przypadnie ona do sądzenia. Wojewoda szeroko o niéj mówi, bo pan, a ja chudopachołek. Od téj sprawy zależy mój los i mojéj rodziny... w tobie JW. deputacie cała moja nadzieja, żebrzę twojéj litości panie!

— Litości panie Wojski, nie znam, na osoby nie patrzę, a sprawę z dokumentów rospatruję. Sprawiedliwość wymierzamy zarowno najmożniejszemu panu, jak najnędzniejszemu żebrakowi, bośmy to sumieniem i przysięgą naszą zaręczyli. To była zwykła Józefa odpowiedź, nad tę nikt innéj nie odebrał.

Jeszcze dzień zwłoki. Jeszcze wielkie polowanie u magnata. Cały trybunał na nim i wszystko, co nosi cechę wielkości na sobie. A co za uprzejmość, co za gościnność! Wojewoda sam obchodzi wszystkich, każdego uściśnie, każdemu słówko grzeczne powie, i kielichy nalewa, i kłaniając się nisko do spełnienia zaprasza. I skutek uprzejmości wojewody, na licach gości wykwita.

— Panowie i bracia rzekł wojewoda, pozwolicie wypić wiwat kochajmy się!

— Wiwat kochajmy się! zakrzyczano zewsząd.

— Wiwat kochajmy się! zawołał gość nowo wchodzący. Był to Wacław syn kasztelana Lwoskiego, towarzysz młodości Józefa.

— Jakąż mi surpryzę robisz kochany Wacławie, a rodzice twoi państwo kasztelaństwo jak się mają? zapytał wojewoda.

— Mille grace, mój ojciec kazał mi z majątku poprzywozić różna awantury, bo fetujemy jenerałowę, pojutrze jéj imieniny. Mnie się chciało koniecznie was odwiedzić, a szczególniéj deputata Pszczołkę, i dla tego szalenie spieszyłem do was. Ale gdzież Józio?

(a) Dziękujemy panu J. Z. za nadesłany artykuł, a prosimy o dalszy ciąg. (Red.)

Józef rozmawiał z biskupem.

— Pozwól panie kasztelanicu, że cię przedstawię biskupowi. Mam honor prezentować waszéj excelencji syna pana kasztelana Lwoskiego, tylko co z Warszawy przyjechał do nas,

— Miło mi, jakże zdrowie Najjaśniejszego Pana?

— Król Jegomość dobrze się ma. — Jenerałowa także zdrowa, i pojutrze zaszczycą nas swoją bytnością. Ale jakże się ty masz mój Józiu, zawołał podając rękę kasztelanic, prześlicznie! jakżem rad że cię widzę, mam ci tysiące rzeczy powiedzieć, bo to tyle lat jakeśmy nie widzieli się z sobą mon chér, bo czas drogi a ja go nie wiele mam, chciałbym się nacieszyć tobą, i nie czekając odpowiedzi wziąwszy Józefa pod rękę udał się do osobnego pokoju.

— Jak ty żyjesz mój drogi? nie znudziłeś się jeszcze? a propos, moi rodzice tysiące ukłonów ci przesyłają i zawsze cię najszczerzéj kochają. Powiedz mi co ty porabiasz z temi panami i o czem z nimi gadać można? A, podobno ożeniłeś się.— Winszuję ci, winszuję. przyjeżdżaj do nas do stolicy, żona wyborny parawanik! a czy ładna, czy bogata?

— Dziękuję ci Wacławie, jak dla mnie wszystko odpowiednie.

— Ty masz wyborny gust, przyjeżdżaj do Warszawy.

— Mnie nie wolno, król zagniewany.

— Wszystko już przeszło, nawet nie dawno książę mię pytał, dla czego ty u nas nie bywasz, a prócz tego wojewoda tęgo stoi u dworu, będziesz miał silne z niego plecy.

— Ja się nie lubię o nikogo opierać.

— Ale takie stosunki jak z wojewodą wierz mi nikomu nieszkodzą A co wygra on swoją sprawę?

— Nie wiem.

— Jakto nie wiesz? Całéj stolicy wiadomo, że ty rej wodzisz w trybunale, widzisz. Niech on wygra, proszę cię, moi rodzice cię proszą... daj mi słowo Józiu, jak mnie kochasz.

— Jakże mogę ci przyrzec kiedy nie wiem o co rzecz idzie, bo sprawy jeszcze nie było.

— A fi mon cher! jak zechcesz tak będzie. Bo powiedz mi, co za wielka figura pan Wojski co się drze z wojewodą? całe nic. A za wojewodą wszyscy cię proszą, nawet król życzy sobie tego, rozumiesz mię teraz Józiu?

— Rozumiem i możesz być przekonanym, że od sprawiedliwości na krok nie odstąpię.

— Kiedyś mię zrozumiał. to merci, chodźmy do tych panów, bo muszę im jeszcze nagadać różnych grzeczności. Ty nie pojmujesz co to za miły dom wojewody! *(d. c. n.)*

PRZEDOSTATNI DZIEŃ ŻYCIA

Pana Gerard de Nerval.

(Pan Gerard de Nerval był jednym ze zdolniejszych literatów francuzkich. Nędza i obłąkanie przywiodły go do samobójstwa. Fakta które tu przytoczymy zebrane zostały przez jednego z przyjaciół nieboszczyka).

Gdybyśmy na chwilę przypuszczali iż Gerard de Nerval umarł z nędzy, pragnąc utaić tę nędzę, jakąż by smutną rolę w historji literatury francuzkiéj odgrywała ostatnia sztuka pięciofrankowa biednego poety.

24 stycznia z rana pisał on do przyjaciela lat swoich dziecinnych: »Przybywaj prędzéj żeby uwolnić mnie z Châtelet.« (*)

Pan Mellot stawił się natychmiast na to wezwanie. Na jego ręklamację i poręczenie, biedny poeta —biedny szaleniec, wypuszczony został z izby więziennéj w towarzystwie dwóch żołnierzy. Trudno opisać wrażenie jakiego doznał Pan Mellot, na widok przyjaciela w smutnéj postawie, człowieka, który już nie ma ani schronienia, ani sposobu do życia, bez grosza w kieszeni, i w letnim ubiorze bez wierzchniego nakrycia. A jakeśmy to już powiedzieli, byłoto 24 stycznia i lód pływał po Sekwanie.

Oficer policyjny przerwał wzajemne uściski obu przyjaciół. Zdawało mu się, że jego powinnością jest powiedzieć kazanie temu biednemu genjalnemu człowiekowi, dręczonemu głodem, zimnem, szaleństwem i myślą o samobójstwie. Gerard de Nerval wysłuchał cierpliwie téj długiéj przemowy jak gdyby ona była do kogo innego wystosowaną przez prostą ciekawość literacką. Ten wymowny dyskurs zakończały wyrazy zwykle w takich okolicznościach używane:

— Idź pan i niech ci się więcéj nie zdarzy popaść w nasze ręce;— Gerard de Nerval zwiesił głowę jak gdyby ta pogróżka straszliwym była ciosem dla niego.

— Nie mam popaść w wasze ręce — pomruknął z cicha,—ale gdzież się udam kiedy nie będę mógł wrócić do domu.

Urzędnik policyjny nie wiedząc o tem zamknął przed biednym, zrozpaczonym literatem ostatnie wrota ocalenia,

— Mój przyjacielu —rzekł do niego pan Mellot ze łzami w oczach— wytłumacz mi jakim sposobem znajduję cię tu w tym stanie?

— Bardzo prosta rzecz —odpowiedział Gerard— przepędziłem noc w szynku na placu targowym, marząc na jawie, i czekając dnia żeby dokończyć moją powieść, którą drukuję w *Revue de Paris*. Już po tysiączny raz przyglądałem się tam, wszystkim owym zajmującym obrazom starego Paryża. Zawsze tu napotkać można owe sceny złodziejskie tak wybornie rozpowiedziane przez Victora Hugo i Piotr Gringoire nigdy nic lepszego nie widział odemnie. Na nieszczęście powstała tam sprzeczka pomiędzy kilku łotrami, którzy sobie wzajemnie jakieś nadużycia wymawiali. Policja zeszła do szynku i zabrała wszystkich nas do aresztu. Na próżno reklamowałem.

— Kto jesteś? zapytano mnie.

— Gerard de Nerval.

— Czem się zajmujesz?

— Literaturą.

— Czy masz jaki sposób utrzymania się?— i zaczęto mnie rewidować.

— Nie mam już ani grosza —odrzekłem— ale zapłaciłem za kawę, którą tu wypiłem.

— To nic nie znaczy. w każdym razie pójdziesz do aresztu.

(*) Więzienie, w którém w Paryżu pomieszczają włóczęgów nocnych.

I bez dalszych wyjaśnień wszystkich nas zaprowadzono do izby więziennéj.—

— Mój biedny Gerardzie —rzekł nówczas pan Mellot— ty widzę umierasz z zimna?

— Nie —odrzekł poeta otrząsając się— ale jeść mi się chce.

— To pójdźmy na śniananie; czy chcesz wrócić do domu?

— Nie, nie —odpowiedział— teraz nie, wieczorem chyba, bo odkąd zostawiłem płaszcz mój w lombardzie.....

— Pojmuję — odrzekł pan Mellot — nie chcesz żeby któren z twoich przyjaciół domyślił się że ci zimno jest. Wiecznie będziesz dzieckiem kochany Gerardzie.

— Tak, dzieckiem. masz słuszność — odpowiedział. Biedne te dzieci, troje ich wraz z nami zaprowadzono do izby więziennéj. A ich to nic a nic nie obchodziło. Mówiono nam wszystkim nie pijcie, bo zamarznięcie na śmierć. To też żeby się bronić od snu te biedne dzieci śpiewały; rospowiadały sobie bajki, bawiły się w chowanego. I ja bawiłem się z niemi; nieprawdaż że to dziwno. Jedno z nich śpiewało jakąś starą piosnkę, któréj nuty już od dwudziestu lat przeszło nie słyszałem. Zasnąłem nakoniec, bo do wszystkiego przyzwyczaić się można, ale zimno mi strasznie było jakim się obudził, i zaledwie mogłem utrzymać pióro w ręku, żeby napisać do ciebie.

— Dziękuję ci żeś sobie przypomniał o mnie kochany Gerardzie.

— Chciałem napisać do Teofila Gauthier, albo do Arsène Houssaye, ale nie mogłem stawać się natrętnym względem nich, bo oni raz już mnie wybawili z podobnego kłopotu.

— Czy widujesz się z ojcem?

— Tak, ale odkąd już nie mam płaszcza nie chodzę do niego żeby go nie zmartwić.

— Alеż trzeba wykupić twój płaszcz natychmiast, na nieszczęście mam zaledwie pięć franków przy sobie; ale jeżeli chcesz pójdź ze mną na ulicę Richelieu.

— Nie, nie, dziękuję ci, kiedy się ściemni pójdę do Théatre francais, Verteuil da mi pieniędzy,

Tak rozmawiając obaj przyjaciele weszli do restauracji na ulicy des Prouvaires, które to miejsce Gerard sam być wybrał. Zaczęli jeść śniadanie, podczas czego Gerard rozpowiadał Mollitowi o nowo zaczętéj powieści pod napisem: »Sen życia.« *(d. n.)*

PRZYJECHALI do WARSZAWY.

H. Sas. Czarnocki Józef ob. z Głuchowa.—*H. Niem.* Horodyński Witold ob. z Stagrodu.— *H. Pols.* Łukowski Stan. ob. z Przeciszewa.— *H. Drezd.* Mościcki Walenty ob z Ratowa.— Poradowski Józef ob. z Gaju.— Sumiński Walenty ob. z Pułtuska.

WYJECHALI z WARSZAWY.

Błociszewski Józef ob. do Rokitua, Ezierzbicki Władysław ob. do Pomarzan, Godlewski Józef ob. do Brulina, Kośmiński Karol ob. do Bedonia.

TEATR ROZMAITO. Jutro: *Włóczęga.—Majster i czeladnik.—Małe nieprzyjemności.*

Dziś rano stopni zimna 10, wczoraj w połu. zimna 2. Wysokość wody na Wiśle stóp 8 cali 8.

W Drukarni J. Unger — Wolno drukować. — Warszawa dnia 17 Lutego [1 Marca] 1855 roku. — Starszy Cenzor F. Sobieszczański.